Janina Łagoda

Powyborczy parlamentarny układ różnymi konfiguracjami się mieni. W ostatnim rankingu kolejny raz z rzędu liderem, wprawdzie skromnym wobec sumy urnowego dorobku rywali, okazała się prawa i sprawiedliwa partia. Nie sposób tego kwestionować, ale też nie wolno przechodzić nad tym do porządku dziennego, bo rządy tego ugrupowania w poprzedniej kadencji wygenerowały pesymistyczną wizję Rzeczpospolitej. Początek nowego rozdania konserwuje kontynuowanie tej tendencji, a Nowogrodzka swoim zwyczajem traktuje głosy innych jak smog zatruwający oddech jej rzekomo ideowym, ale chciejstwem podszytym przesłaniom. Arogancja przybrała chorobowe objawy zatracenia realności w zarządzaniu organizmem państwa. Gruboskórność spowiła nienawiść do otoczenia, a zwłaszcza płynących stamtąd racjonalnych podpowiedzi i to nie tylko autorstwa rodzimych eksperckich gremiów, ale i tych o wymiarze międzynarodowym, jak Unia Europejska (UE) czy Rada Europy (RE). Wszystko to powoduje, że kraj nasz jest spychany do ringowego narożnika, a w nim trudna obrona, bo powalających ciosów w nadmiarze. Mieliśmy być prymusem, przynajmniej w europejskich rankingach państw o parametrach znamienitego rozwoju, zachowując zarazem rygorystyczne normy moralne i jurystyczne. Zamiast tego co chwilę rząd zwycięskiej partii staje się podsądnym Trybunału Sprawiedliwości UE i co rusz popada w konflikty z Komisją Europejską (KE), ale i RE również. Rejestr przewin jest imponujący. Takiego modelu sterowania państwem nikt rozsądny w Rzeczpospolitej nie dopuszczał. Umysły ludzkiej zbiorowości pozostają nieodgadnione. Emocjonalne odruchy chwili, nawet te o patriotycznym kontekście, po niewczasie mogą się objawić nie tylko rozterkami, ale i tragizmem. Historia naszego państwa obfituje dosadnymi przykładami, łącznie z zatracaniem niepodległości. W demokracji zwycięzcom nie wolno zapominać o pokonanych, zwłaszcza kiedy suma głosów oddanych na partie opozycyjne przeważa liczbowe poparcie okazane rządzącym, a tak się ostatnio stało. Sejmową przewagę zapewnił jedynie wzorzec D`Hondta (Victor D'Hondt – 1841-1901, belgijski matematyk i prawnik), będący ustawowym przelicznikiem urnowego wsadu na sejmowe fotele. Dla rządzących powinien to być ważny sygnał, aby szanować opozycję nie tylko parlamentarną, zwłaszcza, kiedy to sprawy państwa toczą się kolizyjnymi torami, bo chyba co do tego nie ma wątpliwości. Sprawowanie władzy poprzez generowanie konfliktów to tandetna i zarazem upokarzająca obywateli metoda, która zamiast do świetności prowadzi kraj ku przepaści.

Samouwielbienie

Nowogrodzką nawiedziła pycha nieomylności. Pomysły stamtąd sączone mają partyjny atest doskonałości, a więc nie mogą podlegać jakiejkolwiek ocenie.
Z takim też naznaczeniem trafiają pod sejmową kopułę i w alertowym trybie stają się ciałem. Ostatnio w tym objawieniu pojawiły się problemy z senacką opozycyjną większością, wprawdzie też symboliczną, ale bardzo ważną, bo owianą duchem racjonalizmu. Dla rządzących to raptem chronometryczna przeszkoda, która w sejmowej powtórce bezrefleksyjnie zostaje gwałcona. W ten sposób trwoni się wiele rzeczowych sugestii godnych rozważenia jako alternatywę mogącą poprawić reguły funkcjonowania państwa. Monopolistyczne zabiegi co do autorytatywnych preferencji zazwyczaj kończą się klęską, jak te sprzed 1989 roku. Dzisiaj inny czas, ale metodologia chęci panowania utrzymuje się na analogicznym poziomie władczego sobkostwa.

III RP nie pierwszy raz znalazła się w niełatwej sytuacji. Przeciąganie liny na krajowym podwórku w imię niezidentyfikowanych trofeów przypomina beztroskie uczniowskie zabawy. I nie byłoby w tym nic złego gdybyśmy funkcjonowali pod kloszem. Relacje sił wewnętrznych muszą uwzględniać powiązania międzynarodowe, bo coraz częściej sprawy krajowe podlegają rygorom obowiązującym w globalnej przestrzeni. Dyplomacja wiele więc waży na decyzjach krajowych władców. W naszym wydaniu nie promieniuje, może dlatego, że jej szef jest tylko eksperymentem nowogrodzkiego guru. Jeśli tak, to pora na profesjonalizm. Problem w tym, że partykularz ma się dobrze, a zagranica winna szanować polskie rządowe decyzje nawet te, które przeczą wspólnotowej wyobraźni. Oferta Nowogrodzkiej jest trudna do zaaprobowania przez zagranicznych partnerów. Skutki tego już teraz są widoczne, lecz władcy usiłują ostentacyjnie je ignorować, a to szkodzi nie jakiejś wyimaginowanej wspólnocie, ale nade wszystko Polakom i Polsce.

Otrzeźwienie jest stanem pomagającym realistycznie spojrzeć na otoczenie i zwrócić się ku przyszłości, pod warunkiem, że intencje osób zarządzających państwem będą autentyczne, a nie pozorowane. Trwająca prezydencka kampania wyborcza po stronie prawej i sprawiedliwej partii tłoczy atmosferę sztuczności nad żywotnymi kwestiami kraju, sprowadzając je do sloganowych opowieści oderwanych od realnych problemów, z którymi się zmagamy. Gorzej, bo owa nieroztropność powiększa już tak niełatwą do ogarnięcia skalę trudności piętrzącą się przed Rzeczpospolitą. Deficyt dialogu z opozycją jest karkołomną przeszkodą w drodze do sukcesu. Wszystko wskazuje na to, że aktualny układ politycznych sił nie promuje koncyliacji, a mnożenie rozbieżności, to i owszem.

Wydaje się, że jednym z istotnych źródeł zacietrzewień jest funeralny kapitał zbity przez rządzącą partię na smoleńskiej katastrofie. Unikatowy to przypadek, kiedy lotnicza tragedia, o już dawno wyjaśnionych przyczynach, nadal wywiera przemożne piętno na stylu zrządzania państwem. Oby jak najszybciej otrzeźwienie zagościło w umysłach władców. Inaczej to pragnienie trafi do antologii sloganów, a mnożenie hipotez samolotowego upadku będzie trwało w nieskończoność

bez szans na ich naukową weryfikację. Sama wiara bez dowodów jest próżnicą, lecz urząd powstał (tzw. podkomisja smoleńska) z kontrowersyjnym partyjnym prominentem na czele oraz egzotycznymi fachowcami w jego składzie i wielomilionowym budżetem. Szanse na merytoryczną konkurencyjność wobec państwowego organu, który już raz sprawę zidentyfikował, są równe nicości. Ale, i w tym smutnym zdarzeniu rządzący ujrzeli szansę na konfliktowanie społeczeństwa, tylko po to, aby trzymać władzę. Ostatnio odnosi się wrażenie, jakby ten kuriozalny zespół pracował w cichości podziemia. Reakcja opozycji winna być gwałtowna i jednoznaczna, co do merytoryczno – finansowego rozliczenia owego partyjnego tworu, kładąc kres dalszej intryganckiej polityce oraz trwonieniu państwowego grosza z tym zdarzeniem związanego. Czas prezydenckich wyborów temu sprzyja. Kandydaci na belwederski urząd, konkurencyjni wobec rządowego aspiranta, taką wiedzą winni dysponować. Tego oczekuje ich elektorat.

Potrzebą chwili jest pilnie skorygowanie bieżącej marszruty instytucji państwa, bo deklaracje rządzących rozmijają się z ich wizją Edenu. Narcyzm połączony z pospolitym egoizmem przynosi opłakane skutki dla państwa. Kraj, aby zmienić trajektorię lotu musi być wolny od samolubnego sterowania nim i trafić na pojednawcze tory. Autofilia pozostaje w konflikcie z samokrytycyzmem. Obywatele mają prawo do uprawiania swojej ziemi, tworząc ją przyjazną. Obecna formuła rządzenia temu nie sprzyja. Społeczne konflikty powstrzymują rozwój, promując wstecznictwo.

Opozycja wobec rządowych decyzji

Sejmowa większość dysponuje bonusem nie tylko przy tworzeniu rządu, ale, co najważniejsze, w stanowieniu prawa, które dotyka nas wszystkich. Dlatego też władcy, objawiając sloganową pokorę wobec kompatybilnego mu elektoratu budują przesiekę odgradzającą opozycję, miast pozostawać chociażby w symbolicznym ukłonie wobec jej sumarycznej liczebnej przewagi poszatkowanej jedynie partyjnymi subtelnościami. Zatem zawołania o jedność w imię Rzeczpospolitej są nadal atrakcyjnym towarem, ale zawistne orientacje mnożą zwarcia. Możemy pozazdrościć innym, gdzie propaństwowe idee dominują, a rządzący szanują głosy opozycji. To ważny filar demokracji i zarazem sprawdzian lojalności wobec suwerena dla tych, którzy znaleźli się na piedestale. Opozycja jest ważnym komponentem społecznego konsensusu. Zdaje się, że nasi władcy podążają asfaltem o innej termicznej jakości. Rozdwojenie jaźni, to dla nich obojętny, nic nie znaczący medyczno - statystyczny numer chorobowy.
W rzeczywistości to suplement ich politycznej diety bez alternatywy dla opozycji. Ten supeł trudno rozwikłać. Oby nie musieli nam w tym pomagać inni. Realne przesłanki tego już notujemy. Starczy prześledzić niedawną plenarną debatę o Polsce (11.02.2020 r.) w Parlamencie Europejskim (PE), gdzie po raz kolejny przedstawiciele obozu rządzącego krajem doznali reprymendy od innych, nawet tych, z którymi do niedawna pozostawaliśmy w nakazanej byłej tzw. ludowej demokratycznej wspólnocie. Rzadko kiedy buńczuczność wobec bliskich i świata jest rozsądnym zachowaniem. Rządzących chyba oślepiło sejmowe zawołanie przedwojennego prominentnego posła i zarazem urzędnika od dyplomacji: nie oddamy guzika. I w konsekwencji tylko ten drobiazg pozostał w garści ministra, bo kraj zatraciliśmy. Zdewaluowana to dewiza jednak w nowogrodzkiej frazeologii gromko rozbrzmiewa, inspirując niezrozumiałe w różnych okolicznościach ich reytanowskie gesty (Tadeusz Reytan, 1742-1780, sprzeciwiający się m.in. rozbiorom). Gwałtowna pora na rzeczową refleksję.
W Sejmie wygrani pławią się w aurze swawoli i pogardy dla opozycji. Dysharmonia skutków władczych decyzji z oczekiwaniami suwerena jest coraz to bardziej wyrazistsza. Na dłuższą metę nie da się w tym trybie zarządzać współczesnym państwem. Zatem dialog mógłby stać się eliksirem na pięściarskie szkodliwe wolty. Warto więc sięgnąć do niedawnych powojennych wzorców wspólnego odbudowywania kraju i tworzenia nowego. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby atmosfera tamtych lat ponownie, być może w zmodernizowanej formule, zagościła nad Wisłą. Jest też szansa na to, żeby Polska znalazła się w europejskim nurcie dialogu. Ale bez zaniechania nikczemnych, konfliktowych czynów pod polską strzechą będzie to proces niezwykle złożony. Wprawdzie pojawiają się błyskotliwe przypadki jednoczenia wysiłków wobec określonych problemów, na co wskazują niektóre sejmowe patetyczne uchwały, ale to zaledwie sformalizowane efemerydy, których żywotność jest równa ich bytności w sejmowej auli. Pragnieniem zaś jest, aby mózgowa korowa szarość zaczęła jasnością promieniować. Potrzebny jest rozumny dialog. Ta opcja czołowo się zderza z obojętnością rządzących. Marsz ku kolejnej tragedii wydaje się być niczym niezakłócony. Zabawianie się państwem przez partyjnych notabli, lekceważących wiele społecznych oczekiwań smutkiem się jawi. Zarządcza droga dzisiejszych władców jest złowróżbna, a bycie demiurgiem narodów mieści się zaledwie w fantazyjnych opowieściach. Pora zstąpić na ojcowiznę i nie tworzyć na niej wojennych poligonów o bratobójczych, ale i międzynarodowych skutkach. Po co nam powtórka mrocznych dziejów w imię partyjnej zachłanności. Pogarda, a więc niechęć okazywana innym, będąca policzkiem wymierzanym na odległość (Viktor Hugo – 1802-1855) nadal ma się u nas dobrze.

Opozycja w pogardzie

Zmiany w zarządzaniu państwem podejmowane przez wtórnych parlamentarnych zwycięzców są zbliźnione z ferowanymi przez nich w poprzedniej kadencji. Nadal ustawy są przyjmowane w alarmowym algorytmie, tak jakby wróg stał u bram. Nie ma czasu na zastanawianie się, na refleksje, na solidne analizy, na eksperckie roztrząsania problemów, na szerokie społeczne konsultacje projektów aktów normatywnych, ale nawet na przyzwoitą parlamentarną debatę. Dzisiaj pomysł, a po nim dobowa realizacja z belwederskim cyrografem włącznie. Takie są standardy Nowogrodzkiej, a tam partyjne posłuszeństwo. Efekty są fatalne, bo inne być nie mogą. Próby racjonalizowania nieszczęśliwych decyzji są w zarodku neutralizowane, a opór rozbrajany. Populiści mają wstręt do opiniodawczych sugestii. Wydaje się, że nie idzie o naprawę Rzeczpospolitej tam, gdzie ona tego wymaga, lecz o brutalną weryfikację kadr na powolną rządzącym. Jest to samobójcza praktyka, a jej skutki już kraju dotykają, bo ludzka łaskawość na pstrym koniu jeździ. Trafna to ludowa sentencja i oby rządzący wysupłali z niej ziarenko rozmysłu. Dla egalitarnego państwa byłoby to oczywiste, ale już nie dla kraju zmąconego partyjnością bez propaństwowego wspólnego mianownika, i to nie technicznego znaku ułamkowej kreski, lecz żywych społecznych pragnień: różnimy się, ale interes państwa najważniejszy.
Na aroganckie zachowania władzy żaden rozsądnie myślący obywatel godzić się nie powinien. Brak rzeczowej dyskusji i dialogu pod sejmowym stropem tworzy fikcję w procesie merytorycznego stanowienia prawa. Opozycja jest szykanowana: ograniczanie czasu wypowiedzi, wyłączanie mikrofonów, strofowanie posłów opozycji z błahych powodów i obdarowywanie ich finansowymi karami, wykluczanie z sejmowych posiedzeń etc. Sejmowa większość w swoim zapamiętaniu upokarzania opozycji rozjechała się z treścią znaczenia międzynarodowego słowa parlament (łac. parlamentarium), które w uproszczeniu implikuje dyskusję, mówienie, rozmowy, polemikę, werbalne przetargi, porównywanie poglądów etc. Jeśli w Izbie wyklucza się dysputę, to pozostają szranki na ulicznym bruku, co jest niebezpieczne i dla demokracji, i dla stron sporu również. Trudno się więc dziwić sędziom, prokuratorom, adwokatom etc., że uczestniczą w protestach, jeśli ich głos jest lekceważony procedurach legislacyjnych, a w orzeczniczych kwestionowany i poddawany karnym procedurom.
Władza dotąd nie przybliżyła w przystępnej formule istoty hasła: dobra zmiana, które od blisko pięciu lat patronuje rządom zjednoczonej prawicy. Najczęściej służy ono jako puste zaklęcie przywoływane w propagandowych wystąpieniach rządzących notabli. Używa się go również w sytuacjach, kiedy to propozycje nowych rozwiązań są kwestionowane. Wówczas władza wytacza argument, że inwencja dobrej zmiany jest torpedowana. Wytrych ten ma usprawiedliwić prawną tandetę w wydaniu prawej i sprawiedliwej partii w stylu: czynimy dobrze dla kraju i obywateli, a inni nam przeszkadzają. Wirusem jest opozycja, która miast bić brawa wymyśleniom partyjnych notabli rządzących Polską, zgłasza zdania odrębne zwłaszcza, gdy władający usiłują uzdrawiać to, co w danej chwili nie jest chore, albo wymaga innej terapii. Szczepionka na tak osobliwe zachowania jest wyłączną własnością suwerena. On decyduje o władczo – opozycyjnych relacjach. I tak chyba pozostanie, łącznie z trwającą prezydencką elekcją. W uproszczeniu wygląda to tak, że Nowogrodzka wymyśla obciążony prawnymi defektami przepis, a parlamentarna fronda usiłuje merytorycznie korygować zapisy na bardziej przyjazne suwerenowi, który jest autentycznym przełożonym rządzących. Ale możliwość zabrania głosu we własnej sprawie przez suwerena jest jednorazowa i następuje w przedziałach cztero- lub pięcioletnich. Jego decyzja jest deponowana w wyborczych urnach,

którymi później dysponuje elektor. Fikcja stała się rzeczywistością. Paradoks ma się dobrze. Pora więc odmienić ten stan.
Rządowy taran przekuwa w rzeczywistość apodyktyczność i towarzyszące mu nieszczęścia, zaś negatywnymi skutkami tego usiłuje obdarowywać opozycję, jako recenzenta poczynań tzw. dobrej zmiany. Owe kuriozalne dezynwoltury są nikczemnością w sposobie tłumaczenia przez rządzącą kamarylę własnej nieporadności. Taki styl zarządzania jest bliski krainie absurdu wypełnionej orwellowskim rozumowaniem parodiującym logikę. Fakty to potwierdzają. Dobra zmiana swój nieudolny wpływ na losy kraju siłuje łagodzić sztandarowym zawołaniem: kto nie z nami, ten przeciwko nam, a to już sugeruje marsz ku monopartyjności, znanej jeśli nie z autopsji, to z opowieści innych, a na pewno z bogatej bibliografii. Wydawałoby się, że demokratyczne reguły powstrzymają nadmierną ingerencję partii politycznych w administrowanie krajem. Polski przypadek jest inny. Upraszczając sprawę, przykładem tej odwróconej demokracji jest spychanie do historii trójpodziału władzy, a to przygnębia, zaś opozycja, która różnymi sposobami stara się temu zapobiec jest obwiniana za niegodne czyny ale popełniane przez władzę. Bardziej naiwnych i zarazem oszukańczych argumentów nie sposób wymyślić. W konkluzji bije to w Nowogrodzką, którą po latach bycia w opozycji zachłysnęła się władztwem sprawując je w apodyktycznym formacie, zatracając samokontrolę i analityczne myślenie o państwie. W tej chwili są widoczne konwulsje powodowane chaotyczno-instynktownemu jedynowładztwu. Znak ważny, którego następstwem może być opamiętanie się Nowogrodzkiej w inspirowaniu destrukcyjnych czynów, które w perspektywie wieszczą bankructwo Rzeczpospolitej.
Znakiem firmowym dobrej zmiany jest konfliktowanie społeczeństwa. Tam, gdzie tzw. reformy, tam lustrowanie kadr wedle jedynego kryterium, tj. serwilizmu, uzupełnianego modułem swobodnej, wybiórczej oceny zachowań delikwentów w czasach PRL-u. To naiwna i upokarzająca opcja bliska surrealizmowi. Jej pomysłodawcami są ci, którzy w tamtych czasach wyrastali i funkcjonowali, nie wspominając o ich rodzicach, a już na pewno dziadkach wyzwalających kraj
i w powojennej spontaniczności go odbudowywali oraz duchowo modernizowali na miarę ówczesnych możliwości. Dzisiaj z racji daty urodzenia, ale i lojalności wobec własnego państwa, bo innego nie mieliśmy, są napiętnowani, także materialnie w trybie zbiorowej odpowiedzialności (np. wybiórcze zmniejszenie emerytur i rent również tym, którzy pracowali, także dla III RP; za chwilę mogą być inni).
A wszystko w imię tzw. sprawiedliwości dziejowej, której istoty umysły autorów nie były w stanie zgłębić Było to nasze państwo darowane nam przez Wielkich z jednoznaczną polityczną sugestią, wobec której nie byliśmy bezwolni, korygując w skrytości tamte decyzje prąc ku samostanowieniu. Infantylnie zatem brzmią opowieści polityków rządzącej partii, że przykładowo w sądach jeszcze orzekają ci, którym nominacje wręczał Przewodniczący Rady Państwa PRL. A kto miał to czynić? Może aktualny prezydent, lecz wówczas biegał w krótkich spodenkach, a może cudzoziemiec ze Wschodu, bo któż inny? Chyba, że PRL powinna zrezygnować z wymiaru sprawiedliwości, a byłby to światowy fenomen od czasów starożytnych. Porada jest taka, aby nie postponować PRL-u, bo to ważny historyczny przedział w naszej historii. Bez niej nie byłoby III RP. Natomiast mnożące się zastępy kombatantów rzekomo zwalczających komunizm, którego w Polsce trudno się było dopatrzeć, wyzwalają u racjonalistów odruchy współczucia. Łagodzi to jedynie społeczne rozdarcia. Wychodzi na to, że dzisiejsi bohaterowie stawali w szranki z mitem, zapominając, że obecna RP, to nade wszystko rezultat porozumień globalistów, a nie wyłącznie rodzimych starć. Rządzący chyba tego nie

dostrzegają, albo metodycznie pomijają, pławiąc się w materialnym dostatku i oddychając bredniami, płynącymi z partyjnego przekazu dnia tudzież opinii wymyślanych przez agendę o narodowej pamięci, uprawiającą dbałość o wybiórczą historyczną pamiętliwość. Prosta droga ku demokracji raptem staje się łamaną i to z woli rządzącego partyjnego establishmentu. Taka jest natura wodzowskich partii. Rozterki koi to, że nie ma też eliksiru na trwanie określonej władzy w nieskończoność. Pojawia się nadzieja.
W zarządczej praktyce zjednoczonej prawicy rozgrzewanie konfliktowych namiętności stało się szlachetnym atrybutem, a jednym z ostatnich przykładów tej rządowej formuły koncyliacji jest próba konfliktowania emerytów i rencistów z niepełnosprawnymi. Przekształcenie Solidarnościowego Funduszu Wsparcia Osób Niepełnosprawnych (SFWON) w Fundusz Solidarnościowy (FS) tworzy płaszczyznę dla żonglowania budżetowymi finansami. Jest to niesympatyczne i dla emerytów, i dla osób niepełnosprawnych. Nie można za to obwiniać skądinąd budżetowych księgowych, dla których nie stanowiłoby problemu utworzenie odrębnych operacyjnych bezkolizyjnych rachunków o zróżnicowanych formułach finansowego wspomagania tych dwóch grup społecznych. Nieszczęście sprowokowali politycy dobrej zmiany, którzy w zachłanności o wskaźniki poparcia stworzyli kolejną wyborczą hybrydę dekorowaną solidarnościową cyrylicą, prowokującą waśnie, których już mamy w nadmiarze. Natomiast prace nad kompleksowym, godnym, a nie żenująco wyborczym systemem emerytalnych płatności, zostały odłożone na czas, który nigdy za tych rządów nie nastąpi (łac. *a d calendas graceas*
), bo aktualną władzę pasjonuje władza, reszta jest marginesem, koloryzowanym zdawkowymi adnotacjami zatroskania o państwo. Rzeczpospolita truchleje.

Zagranica

W dochowywaniu traktatowych powinności w unijnych rankingach stajemy na pudle nieroztropności. Rządzący usiłują przekonywać Brukselę do swoich racji poprzez ojczyźniane konflikty. Ale to nieokrzesany argument skazujący na porażkę. Prawa i sprawiedliwa władza jest nieustępliwa i się łudzi, że takie zachowania przysporzą jej sympatii. Dotychczasowe efekty tej opcji oscylują wokół najniższych wartości, a prezentowany przez dobrą zmianę styl debaty w Parlamencie Europejskim (PE) poplątał się jej z apodyktycznym stylem uprawianym na warszawskiej Wiejskiej. Wróży to zło. Rządzący są jednak innej myśli i w nieroztropności dedykują nam swoje nieszczęścia. Dla wyrazistości tego ohydnego w formie obwiniania innych, dodatkowo obarczają im zarzut rzekomego donoszenia zagranicy na własny kraj. Ignorują, albo nie zdają sobie sprawy z oczywistego faktu, że w dobie elektronicznego przekazu i solidnej pracy oficjalnych oraz tajemnych służb, uzupełnianych prywatnymi przyjacielskimi wzajemnymi zagranicznymi kontaktami osób, tajemnice alkowy państwa przechodzą do lamusa w obecnym krajowym ich wydaniu Z drugiej strony w Polsce osoba informująca o błędach jest nadal uważana jako zdrajca. Pamiętać trzeba, że buńczuczne oświadczenia rządzących o tzw. nielojalności wobec ojczyzny mają dwa końce mieszczące się w interpretacyjnej egzotyce: jestem za, a nawet przeciw. Międzynarodowy rezonans tego pogłębia izolację pisowskiego rządu, a w konsekwencji nas wszystkich.
Wojowanie na zagranicznych forach z traktatem akcesyjnym, przyjętym w obywatelskim referendum, ma posmak aberracji graniczącej z harakiri i jest obliczony wyłącznie na wewnętrzny krajowy elektorski użytek. Niepojęte to zachowania reprezentantów dobrej zmiany, ale i też nie zaskakuje. Była premier, a teraz europosłanka (sic!) od dawna znaczyła swój

sceptycyzm wobec Brukseli. Sprawując urząd w kraju m.in. wyprowadziła unijny sztandar ze swojego, tj. premierowskiego otoczenia. Niby warsztatowy zabieg, ale dyplomatycznymi refleksami gruntowany. Dalszy ciąg tego jest znany i to nie tylko w kraju: m.in. sławetna przegrana premier w PE (27:1), co w ocenie prezesa prawej i sprawiedliwej partii było niemal olimpijskim sukcesem. Zapodział się etalon greckiej plutarchowskiej Egidy (z tarczą albo na tarczy). Wzorzec nie stracił na aktualności, ale zachowania rządzących podupadły, przebłyskując intelektualną pustką.
Tendencja ku godnemu trwaniu została ostatnio wzbogacona rozpaczliwymi mowami w PE, których treść nawet w najbardziej neutralnym odbiorze sygnalizowała marsz Polski ku zaściankowi. Pesymizmem to nastraja. Od powojnia optymizm był dla nas drogowskazem. Dzisiaj jest tłamszony przez rządzących współbraci. Pytanie w imię czego? Może prezesowskiej dotąd nie zidentyfikowanej wizji?
W tożsamym rytmie porusza się prezydent RP i zarazem kandydat na repetycję urzędu, dla którego wygłaszane podczas wyborczych spotkań z suwerenem frazy: nie będą nam tutaj w obcych językach narzucali, jaki mamy mieć ustrój w Polsce; nie pozwolimy, aby inni decydowali za nas etc., zwiastują kontynuację myślowych refleksji Nowogrodzkiej, dla której zagranica i wnętrze kraju, to odrębne, sobie wrogie sobie byty. Dla większości obywateli tak nie jest, bo zespalają je obowiązki traktatowych wzajemności. Prezydenckie sentencje pogłębiają nieufność do międzynarodowych zobowiązań, których głowa państwa winna być strażnikiem. Nie wolno jej też ignorować pro unijne aspiracje rodaków. Ale czyż dostąpią go siły, aby wieść partnerski, a nie usłużny dialog z Nowogrodzką? Pozytywna odpowiedź graniczy z utopią. Trudno sobie wyobrazić, aby finisz kadencji wystarczył na ozdrowieńczą rehabilitację i pojednanie za pięcioletnie wzgardzanie opozycją. Teoretycznie jest to możliwe, ale w tym przypadku nierealność góruje.
Eurosceptycyzm rządzących przybrał rangę strategicznego celu, co drastycznie lekceważy polską rację stanu. Rozdwojenie jaźni, to przypadłość rządzących tracących kontakt z jego społecznym wnętrzem i zagranicznym otoczeniem.

* * *

Gardzenie, a więc okazywanie braku szacunku dla innych, bagatelizowanie racjonalnych podpowiedzi wpisujących się w uczciwą formułę doskonalenia państwa, obwinianie opozycji za wszelakie własne klęski jest bliskie uczniakowi: to nie ja, to on. Ignorowanie społecznego dialogu, ale i nieprzyznawanie się do porażek, to katalogowy symbol rządzących. Można byłoby przejść obojętnie wobec zarzutu ich ułomności, gdyby władcy zaczęli grawerować znaki ważne dla wspólnotowej, kordialnej szczęśliwości obywateli i kraju.
Rządzący niefrasobliwie pojmują demokrację. Większość parlamentarna nie ma władzy nieograniczonej, bo ją limituje nie tylko moralny elementarz okazywania szacunku wobec przegranych, za którymi miliony osób, ale nade wszystko uregulowania konstytucyjne oraz traktaty, które państwo ratyfikowało, zobowiązując się do wzajemnych lojalnych relacji i szanowania głosów obywateli.
Nowogrodzka ignoruje elementarz propaństwowych zachowań, aplikując społeczeństwu zamgloną przyszłość, co wieszczy katastrofę, a tych w dziejach Rzeczpospolita było w nadmiarze. Teraz, kiedy objawiła się szansa na sukces, rządzący budują zaścianek. Niepokoi to nie tylko unijnych partnerów. Impregnacja na rzeczowe sugestie opozycji i nam życzliwych zagranicznych gremiów, przekracza nie tylko normy zwyczajnej arogancji, ale niweczy

dotychczasowe osiągnięcia innych. To, co czynią rządzący pozostaje w rażącej sprzeczności z unijnymi rygorami oraz z obywatelskimi pragnieniami. Władcy tłumaczą ten stan niegodnymi czynami opozycji i do znudzenia przytaczają, wybiórczo preparowane, ułomności autorstwa poprzedników, tych sprzed 2015 roku. Groteska zmiksowana z faktami. A która to władza nie popełnia błędów? Są one mniejsze, jeśli z zasady nie pogardza się obywatelskimi kontrpropozycjami. Wówczas sprawowanie rządów może szlachectwem się mienić.

Janina Łagoda